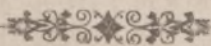


WIECZORY RODZINNE,

CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Po staremu.

PO STAREMU.

W wyniosłym zamku, w karpackiej krainie,
Gaśnie kasztelan i ród wraz z nim ginie,
Bo syn przed laty w tatarskiej zawiei
Zginał dzieciątkiem kwitnących nadziei.
U łoża starca tylko córka cicha
Czuwa i tchnieniem ojcowém oddycha.
Ostatnią chory snadź ujrzał niedzielę,
Dzień, w którym bywał w odległym kościele:
— Jedź, córko, sama! — kasztelan rozkaże
— Pierwsza powinność czcić pańskie ołtarze.
Córka powstała, szła łzami zalana;

Żywym nie ujrzy już ojca i pana!
Jedzie... gdy rumak jakowś spłoszony
Jeźdźca w jej oczach w nurt uniósł spieniony.
Skoczył wnet w fale sługa kasztelana,
U stóp jej złożył ранego młodziana.
Znająca sztukę lekarską dziewica
Spojrzała w martwe omdlonego lica,
I maść mu kładąc na zranione ramię,
Ujrzała znane jej z powieści znamię,
Które odkryła rozerwana szata:
Dziewczę poznało zginionego brata,
I zanim skonu wybiła godzina,
Pobożny ojciec błogostawił syna.

SZKOŁA DOŚWIADCZENIA.

Opowiadanie,

dla swoich siostrzeniczek
napisała

S. Wanda Janczewska.

(dalszy ciąg).

Wieczorem napisała długi list do matki, w którym prosiła ją usilnie, aby jej pozwoliła powrócić do domu, ale gdy nie śpiąc w nocy, przypomniawszy sobie, że do dawnych nauk na pensyi wrócić nie będzie mogła, gdy przyszły jej na myśl koszta, które matka poniosła, wyprawiając ją tutaj, przekonała się, że list ten musiałby sprawić jej ogromne zmartwienie, i postanowiła go nie posyłać.

Zabolała ją ogromnie wyrzut Fredzia, że ona tu „nic nie robi” i postanowiła postarać się, żeby nadal tak nie było, pragnąc w ten sposób polepszyć tu swoje położenie. Poszła więc do gospodyni, ofiarując jej się z pomocą, gdy będzie jej potrzebowała, ale ta nie wielką zwróciła uwagę na te dobre chęci i odpowiedziała:

— Śliczniebym wyszła, wyręczając się panną; ja tu sama wszystkiego pilnuję, a jednak nie idzie tak, jakby powinno i pani zawsze znajdzie co do przygany...

Panna służąca, do której Cesia udała się z podobną propozycją, ucieszyła się tém bardzo i dała jej na początek do wyprucia kosztowną wstawkę ze spodnicy pani Fiałkowskiej, lecz gdy potem zobaczyła ją przeciętą przez nieostrożność w kilku miejscach, wymówiła to Cesi w dotkliwy sposób, dziwiąc się, że taka duża panna jest „do niczego“.

Odtąd życie Cesi w tym pięknym pałacu stało się tak smutne, tak nudne, że nigdy dawniej nie miała o czémś podobnym wyobrażenia. Wprawdzie nie zawsze była skazaną na takie, jak z początku, próżnowanie, powoli i panna Amelia, i Janowa, i panna służąca, zaczęły się nią wyręczać i zdarzało się nawet, że jednocześnie wrywano ją sobie na wszystkie strony tak, że nie wiedziała, gdzie biedz wpiężej, ale znowu potem bywały całe dni, w których nie miała żadnego zajęcia i nie wiedziała, co z czasem robić. Wtedy to zwykle brała się do swych książek naukowych, a natrafwszy na jakiś ustęp historyi lub rozdział literatury, którego na pensyi się uczyła, zalewała się łzami, przypominając sobie zajmujący wykład profesorów, życie koleżeńskie wśród towarzyszek nauki, ściśle oznaczony użytek każdej godziny, jednym słowem wszystko, czego była teraz pozbawiona, i gorący żal ścisłał jej serce. A gdy

jeszcze w chwilach smutku, lub jakiej przykrości, nie miała przed kim się pożalić, nie znalazła nikogo, coby ją pocieszył, albo się o nią zatroszczył, jakże boleśnie odczuwała swoją wśród obcych samotność, jakże rada byłaby przytulić się do serca matki i uściskać siostry, o których przywiązanie dotąd wcale nie dbała!

Tak upłynęło Cesi kilka nieskończenie długich i smutnych miesięcy, nie przynosząc żadnej zmiany. Pani Fiałkowska zawsze była względem niej równie delikatna, jak z początku i nic od niej nie wymagała, ale też nie ośmieliła niczém do jakiegoś zbliżenia i większego zaufania. Panna Amelia zawsze jednakowo zajęta była dziećmi i „nie mogła myśleć o niej“, zresztą wszystko szło tym samym trybem, co w pierwszych dniach jej tu przybycia.

Zbliżyły się Święta Bożego Narodzenia, które Cesia pierwszy raz zdala od domu, wśród obcych spędzić miała, gdy dnia jednego nadbiegła Julcia, cała zarumieniona i uradowana i zawołała, klaszcząc w ręce.

— Ach, Cesi, co za szczęście! Jedziemy wszyscy do cici na święta, jedziemy na cały tydzień, mama powiedziała mi to teraz. Bo ty nie wiesz — dodała dziewczynka zdziwiona obojętnością, z jaką Cesia wiadomość tę przyjęła — nie wiesz, jak tam u cici dobrze, jak ślicznie, jak przyjemnie! Co dzieci mają zabawek, i jakich jeszcze! Toż to będę się bawiła!

— Któż jedzie! — zapytała wtedy Cesia z zajęciem, bo rada była dowiedzieć się, czy i ją zaliczono do tych wszystkich.

— No, my wszyscy; stryjek tylko zostaje, bo on nie lubi nigdzie jeździć, a do cici szczególnie, bo tam jest zawsze dużo gości.

Nic więc nie mogła się Cesia dowiedzieć od Julci, która pobiegła powtórzyć tę nowinę Tadziowi; w parę dni jednak później, gdy już przygotowywano się do drogi, Julcia niespodzianie zapytała przy obiedzie:

— Mameczko, czy i Cesia z nami pojedzie?

Pani Fiałkowska nic na razie nie odpowiedziała na to pytanie, ale Cesia zauważyła, że wyraźny cień niezadowolenia przemknął po jej twarzy.

Łatwo poznać było, że nie pomyślała o Cesi, a na niespodziane odezwanie się dziecka uczyła pewien nieprzyjemny kłopot, co z nią zrobić. Mała dziewczynka jednak nie zauważyła i zrozumieć tego nie mogła, więc spokojnie, lecz głośniejsz jeszcze i wyraźniej ponowiła swe zapytanie.

— Nie, Julciu — powiedziała wtedy matka powoli i z namysłem — Cesia tam jechać nie może... Nie wypada tam jej jechać niezaproszonej, a ciocia, wspominając o was, nie o niej mówiła. Przy-

tem będzie tam dużo gości, trudno się będzie pomieścić, zresztą potrzebaby jej ładnych, eleganckich sukienek....

Można sobie wyobrażać, jak to przykro było słyszeć Cesi, nie dla tego, żeby tak pragnęła jechać, i zabawie się, bo chęci tego rodzaju dawno ją opuściły, ale dla tego, że czuła, jak wyraźny kłopot sprawia swoją osobą pani Fiałkowskiej, która sama nie wiedziała, co z nią, Cesią, uczynić. Przekonała się dziś więcej jeszcze niż dotąd, że była tu zawadą, niepotrzebnym sprzętem, przez delikatność tylko znoszonym, a czasem nawet, jak i w tej chwili, kłopotliwym.

Ach! jakżeby pragnęła ztąd się wyrwać i wrócić pod opiekuńcze skrzydła matki! Ale pojmowała, że było to niepodobieństwem. Wiedziała, że matka ciężką pracą zarabia na utrzymanie własne i młodszych swych córek, a powrót do domu Cesi, takiej dużej dziewczyny *do niczego*, przysporzyłby jej wiele kosztu, kłopotu i zmartwienia. To też chcąc jej tego wszystkiego oszczędzić, nie wspominała wcale w listach swoich, jak żałuje teraz, że dom i naukę porzuciła i jak pragnęłaby do nich powrócić, smutek zaś swój przypisywała tylko tęsknocie za matką i siostrami, co było zresztą rzeczą naturalną i czemu pani Rogowska łatwo wierzyć mogła, ani domyślając się innych powodów jej zmartwienia.

Nadszedł nareszcie dzień wigilii. Cesia była od wczoraj sama, bo pani Fiałkowska wyjechała z dziećmi i panną Amelią, pożegnawszy się z nią uprzejmie i grzecznie i zapewniwszy przy wsiadaniu do karety, że jej tu *nic* nie będzie brakowało.

Nie nie brakowało! Cesia, myśląc dziś o tém, zalewała się łzami. Brakowało jej choć jednej osoby, któraby serdecznie ją uściśnęła, przed którą otwarcie swe smutki, troski, swoje myśli wypowiedać mogła, która w dniu tym uroczystym zastąpiłaby jej matkę ukochaną i nieobecne siostrzyczki. Dzień ten nazawsze pozostał Cesi paniętnym. Od samego rana ogarnął ją nieopisany smutek. Głucha cisza, panująca w całym domu, te piękne, eleganckie lecz puste salony, po których teraz przechadzała się znużona, wywierały na niej wrażenie jakiejś pustyni. Żeby mieć z kim choć parę słów zamienić, weszła na chwilę do pokoiku panny służącej, lecz zastała ją tak zajętą wybieraniem się w drogę, że na Cesię prawie nie zwróciła uwagi.

— Gdzież to panna Józefa się wybiera? — zapytała jej po chwili.

— Jadę do Krasówki, do matki na święta — odpowiedziała panna służąca z rozjaśnioną twarzą i błyszczącymi oczyma. Śpieszę się właśnie, bo

konie już gotowe, a wiem, że i mnie w domu czekają niecierpliwie.

— To... życzę panie Józefie przyjemnych... wesołych Świąt — wyjąkała Cesia takim smutnym, łzawym głosem, że aż panna Józefa, przerwawszy układanie rzeczy, odwróciła się do niej i rzekła ze współczuciem:

— A biedna panienska zostanie tu sama... O, ja wyobrażam sobie, jak to musi być przykro...

O zwykłej obiadowej godzinie poproszono Cesię do stołu. Nie czekano tu zwyczajem wigilijnym na gwiazdkę na niebie, nie było siana pod obrusem, ani opłatka na talerzu. Ale za to stół był nakryty srebrem, jak zresztą i codzień, i jak codzień lokaj podawał potrawy wykwintne, które dawno już przestały Cesi smakować i również, jak cała otaczająca ją wystawa, stały się dla niej obojętne.

Pan Fiałkowski wszedł roztargniony i zamysłony, jak zawsze, siadając do stołu wskazał na drugie nakrycie i spytał służącego krótko:

— A to po co?

Nie spostrzegł Cesi, stojącej na uboczu, a nie widząc, zapomniał o niej. Biedna dziewczyna zbliżyła się zmieszana do stołu, mówiąc mu dzień dobry.

— A, przepraszam! — odezwał się żywiej trochę niż zwykle pan Fiałkowski, sądziłem, że jaj tylko jeden zostałem w domu. Proszę siadać.

Zjadł zupę prędko i w milczeniu, potem wziął gazetę, jak zwykle, i znowu zapomniał, że ma Cesię przed sobą.

Można sobie wyobrazić, jak obiad ten, zastępujący ucztę wigilijną, smakował Cesi. Zaledwie wzięła w usta cokolwiek i dopiero odetchnęła swobodniej, gdy wstała od stołu.

Mrok zaczął zapadać, ona usiadła na małej kanapce i przytuliwszy się w samym rogu, zamknęła oczy, z których mimowiedzy ciche łzy powoli płynęły...

Myślą przeniosła się w dawniejsze lata i zdawało jej się, że widzi żywo, jak na jawie, ten wesoły ruch i ożywienie, słyszy przyjemny gwar, jaki panował dnia tego w domu rodziców jeszcze za życia ukochanego ojca. Całe mieszkanie było wtedy wcześniej uporządkowane, wyświeżone i tak jakoś było w niem jasno, tak uroczyście, tak świątecznie!... Potem nakrywano stół świeżym obrusem i zastawiano najpiękniejszym nakryciem, jakie było w domu, parę doniczek kwitnących hyacynthów go ozdabiało, a piramidy jabłek i bakalij przyjemnie oko nęciły. Potem następowało łamanie opłatkiem, mało słów i życzeń, ale wiele uściśnień i pocałunków serdecznych. Następnie zasiadano do uczyty niezwykle smakowitej i obfitej. Po wieczerzy było drzewko, i zabawki dla młodszych

dzieci, dla Cesi zaś ładny podarunek od ojca w książkach i przyborach piśmiennych, a od matki coś z wykwintniejszego ubrania.

Przed rokiem jeszcze, gdy już ukochanego ojca nie było, skromne pokoiki matki miały przecieź tę samą uroczystą cechę, a choć przy opłatkach bolesne łzy świeciły w oczach wszystkich, przecieź potem w objęciach matki boleść ztajała i jakoś miło i słodko było na sercu... A dziś?... Cesia otworzyła oczy i powiodła wzrokiem dokoła. Była samą, samą jedną i beźmiernie smutną... Mimowoli dotknęła ręką palca, na którym miała ładny, złoty pierścioneczek, wczorajszy dar *na gwiazdkę* pani Fiałkowskiej. Jakże ona dawniej pragnęła pierścionka, jak o nim marzyła! Gdy nieraz, stojąc przed lustrem i przyglądając się swjej twarzy, myślała, w czem byłoby jej najładniej, spoglądała także na swe ręce, żałując, że nie może przyozdobić ich pierścionkami, w których wyglądałyby daleko piękniej... Teraz, myśląc o tem, Cesia rumieniła się sama przed sobą i sama na siebie gniewała.

— Mój Boże, myślała, jakże byłam dziecinną i nierozsądną, sądząc, że strój elegancki, albo trochę błyskotek stanowią szczęście! Dziś, gdy posiadam ten upragniony pierścionek, czuję się nieśczęśliwą, jak nigdy. Nie myślę wcale o swjej powierzchowności i nikt na nią nie zwrócił tu uwagi, ani też dla niebrzydkiej twarzy mojej nie dał mi swego przywiązania, troskliwości i serdecznej opieki. Jakąż słuszność mama miała! O ileż byłoby mi teraz miłej i weseliej znajdować się w domu własnym, wśród *swoich*, z przekonaniem, że ubiegłego czasu użyłam z korzyścią i przybliżyłam chwilę, w której sama na siebie pracować będę, nie stając się nikomu ciężarem i zawadą, że owszem, z pomocą jeszcze komuś przyjść będę w stanie... Ach, czemuż, czemuż to dla mnie rzecz niepowrotna!

Niepowrotna... Czyż niepowrotna? spytał ją jakiś dobry głos w duszy, i iskierka nadziei, odrobina pociechy spłynęła jej do serca.

— Ojciec mówił zawsze, że wrócić na dobrą drogę nigdy nie jest zapóźno, a jam przecie jeszcze tak młoda, tyle mam czasu przed sobą... O tak, chcę uczyć się, chcę pracować, dołożę wszelkich usiłowań, aby wrócić na tę drogę, na której mnie mama widzieć pragnęła, która, jak to dziś czuję sama, jest dla mnie właściwą i dobrą. Tak, od dziś zacznę starać się o to, i Bóg mi pomoże, iż z czasem potrafię zapracować na siebie, nie będę potrzebowała łaski ludzkiej, nikomu nie będę ciężarem, ani kłopotem, nikt mi nie powie, żem *do niczego*...

I tu upadła na kolana i w gorących słowach

modlitwy zaczęła błagać Boga o pomoc i łaskę wytrwania na tej drodze, którą iść postanowiła. Pierwszy to może raz od przybycia Cesi do Wierzbina sen jej był tak lekki i spokojny. We śnie widziała matkę i siostry, widziała ojca, który ni by, jak to kiedyś czynił, idąc do biura, odprowadzał ją na pensję i prosił po drodze, żeby się dobrze uczyła.

Wróciwszy z panią Janową z kościoła, gdzie się serdeczniej niż zwykle pomodliła, napisała list do domu, jakiś tak swobodny, tak wesoły, że pani Rogowska, otrzymawszy i przeczytawszy go, rzekła do swych młodszych córek:

— Musiały Cesi bardzo przyjemnie Święta upłynąć; dzięki Bogu, że jej dobrze w Wierzbinie.

Ona tymczasem Święta te przepędziła nad książkami, przypominając sobie mozolnie, czego się na pensji uczyła i próbując sama uczyć się dalej.

Ale jakaż to trudna była praca! nie miała nikogo, coby ją ułatwił, wytłómaczył, objaśnił, i biedna dziewczyna przekonała się wtedy, jakiej cierpliwości, wytrwałości i usilności potrzeba jej będzie, aby wrócić na tę drogę, którą dawniej postępować było tak łatwo, a czego cenić nie umiała! Nic też dziwnego, że po jakimś czasie zaczęło ją opanowywać zniechęcenie.

— Darmo tylko czas tracę, powiedziała sobie w duchu, wiem, że się sama niczego nie nauczę.

W jakim innym, pożyteczniejszym sposobie będziesz czas ten spędzać? zapytał ją potem jakiś głos tajemny.

I brała się znowu do książek, a po kilku tygodniach przekonała się, że skorzystała z tego trochę, szczególnie w historii i literaturze, co sprawiło jej prawdziwie zadowolenie.

W tym czasie byli goście u pani Fiałkowskiej, a Cesia, jak zwykle, przychodziła do stołu w swjej granatowej, dobrze podniszczonej sukience. Musiało to w nieprzyjemny sposób zwrócić uwagę pani domu, bo tegoż dnia nad wieczór Cesia, przechodząc przez salon, usłyszała, jak do kogoś mówiła z pewnem niezadowolaniem w głosie.

— Czyż nie ma już nic porządniejszego do włożenia?

— Pewno że nie ma — odpowiedziała na to panna służąca.

— A to weź którą z moich sukien i przerób dla niej. Możesz tę popielatą... Ale powiedz jej, żeby przyzwoiciej się ubierała, szczególnie przy gościach.

— Ale to szkoda tej sukni, taka jeszcze porządna — powiedziała niechętnie panna służąca, która sama oddawna miała chęć na nią i spodziewała się ją dostać.

— Cóż robić! Trudno przecież, żeby mi dom kompromitowała.

Cesia domyśliła się, o kim to była mowa, i zarumieniła się z uczucia przykrości i upokorzenia.

— I ja będę musiała ten niechętny datek przyjąć i za niego jeszcze dziękować — pomyślała z goryczą, — o Boże! dopomóż mi, żebym jaknajprędzej potrafiła na siebie zapracować i niepotrzebowała cudzej łaski. O, jakąż słuszność miała mama, mówiąc, że suchy kęs własnego chleba smakuje lepiej, niż z łaski podawane pasztety!

Postanowiła podziękować za suknię i nie przyjąć jej. Chcąc jednak dogodzić pani Fiałkowskiej i lepiej się ubrać, przejrzała swoją skromną garderobę i z przykrością przekonała się, że nic nie ma lepszego od tego, co miała dziś na sobie. Poprosiła zaś matki o sprawienie i przysłanie nowej sukienki, nie miała odwagi; pamiętała, z jaką trudnością przychodziło pani Rogowskiej zaopatrzyć ją we wszystko, gdy wyjeżdżała, i przypomniała sobie, co matka powiedziała, pakując jej rzeczy.

— Powinno ci to wystarczyć przynajmniej na rok, tylko proszę cię, szanuj wszystko, nie niszczyć lekkomyślnie i utrzymuj w porządku.

Do roku było jeszcze daleko, a już cała garderoba Cesi w bardzo smutnym znajdowała się stanie. Z początku swego tu przybycia, niepomna na przestrogi matki, zaczęła najlepsze rzeczy nosić na codzień, chcąc się sama ładniej w nich wydać; prócz tego, skutkiem wrodzonego niedbalstwa, zniszczyła je prędko nieporządnym użyciem, nigdy nie sobie nie naprawiła, nie wyczyściła; nie było też komu upominać jej o to i Cesia znalazła się w smutnej konieczności przyjęcia tak niechętnie ofiarowanej sobie sukienki.

(D. c. n.).

KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.

przez starego nauczyciela.

(dalszy ciąg).

Przymierze pomiędzy Polską i Austryą podpisane było w rzeczywistości 1 Kwietnia r. 1683, lecz naumyślnie dano mu datę 31 Marca, aby uniknąć drwin, jakieby ztąd wyniknąć mogły, gdyby się komu podobało przypomnieć koncepta przywiązane do daty *prima aprilis*. Cesarz obowiązywał się wyprowadzić do boju 60,000 wojska, król polski 40,000; na przypadek oblężenia Wiednia lub Krakowa, sprzymierzeńcy przyrzekli sobie pomoc wzajemną do odsieczy. Dla cesarza austryackie-

go głównym przedmiotem wojny było odzyskanie Węgier, dla króla polskiego odebranie Kamieńca. Jeden z nich tylko dopiął zamierzonego celu.

Tegoż samego dnia, gdy traktat ten był podpisany, wojsko tureckie wyruszyło z Adryanopola, zmierzając prosto ku stolicy austryackiej. Przygotowania Muzułmanów do tej wojny trwały już od lat kilku, a siły ich były ogromne. Bo też tym razem wybrali się na zawojowanie całego chrześcijaństwa; zamierzali uderzyć najprzód na Austryę, a pokonawszy ją, zwrócić się ku Włochom i zatknąć półksiężyc na kościele Ś-go Piotra, tak samo, jak go zatknęli na bazylice Ś-tęj Zofii. Sam sułtan Mahomet IV zjechał z paradą wielką do Adryanopola na początku roku 1683 i ścigał tam niezliczone swoje zastępy. Kara Mustafa, wielki wezyr, człowiek dumny i zuchwały, starał się w nim rozbudzić męstwo dawnych kalifów i żądę podbojów.

Dzisiejsza Turcyja wycieńczona, konająca prawie, nie może nam dać wyobrażenia o tém, czém było państwo ottomańskie dwieście lat temu. Wszystko drżało przed tą potęgą, która drapieżne swe szpony rozciągała na trzy części świata, Azyę, Afrykę, Europę. Gdy więc sułtan postanowił podbić chrześcijaństwo, na skinienie jego biegły do Adryanopola wszystkie plemiona, podległe jego władzy, od Eufratu, aż do Nilu. Całe pokolenia Arabów, Kurdów, Mameluków, Albańczyków, Greków, gromadziły się pod chorągwią Proroka, nie licząc już Tatarów, którzy zawsze śpieszyli wszędzie, gdzie łupów spodziewali się dla siebie. Oprócz tego zbierali się tam jeszcze najrozmaitsi awanturnicy z całego świata, nawet i chrześcijanie, którzy przez chciwość, lub dla uniknienia zasłużonej kary, gotowi byli się zbisurmanić. Liczne okręty podpływały na wszystkie wybrzeża Śródziemnego morza, na wyspy bogate, wybierając wszędzie podatki i werbując żołnierzy. Kilka tysięcy wielbłądów przenosiło zapasy żywności i amunicyę, rzeki pokryte były łodziami, obciążonemi takimiż zapasami; dziesięć tysięcy wozów niosło je dalej ku Węgrom. Artylerya składała się z 350 dział, wojsko, wraz z Tatarami wynosiło 300,000.

Z taką to siłą straszliwą wyruszył sułtan z Adryanopola w dzień podpisania przymierza Austrii z Polską i ciągnął na Węgry. Hospodarowie wołoscy, Emeryk Tekeli, dowódzca zbuntowanych Węgrów, pośpieszyli czołem przed nim uderzyć w Belgradzie. Tu zatrzymał się orszak sultański, a 12 Maja Pady szach uroczyście wręczył Kara Mustafie czaple pióro, szatę ze złotogłowiu, kołczan dyamentami sadzony, znamiona najwyższej wojennej godności, i oddał mu w ręce

zieloną chorągiew Proroka. Sam zaś powrócił do Adryanopola i tam wyprawił sobie świetne łowy, na których 40,000 ludu naganiało dzikiego zwierzaka.

Cesarz Leopold, jakkolwiek od dawna uprzedzany ze wszystkich stron, a zwłaszcza przez króla polskiego, o przygotowaniach Turków, nie dowierzał widać, że niebezpieczeństwo jest tak blizkie, gdyż niezbyt energicznie sposobił się do obrony. Wojskami jego dowodził książę Karol Lotaryński, ten sam, który pretendował po dwakroć do korony polskiej, a później ożenił się z Eleonorą, wdową po Michale Wiśniowieckim. Był to wódz dzielny i zdolny, on też w znacznej części przyczynił się także do uratowania Austrii i sam król Jan oddawał mu sprawiedliwość.

W Polsce tymczasem przygotowania do wojny szły piorunem. Sejm zakończył się 17 Kwietnia, w samą sobotę wielkanocną, tak, że prosto z Izby Senatorskiej wszyscy z królem na czele udali się na rezurekcyą do fary. Po Świątach zajęto się tak gorliwie zbieraniem wojska, że w przeciągu trzech miesięcy wszystko już było w pogotowiu. Wojsko koronne wynosiło wszystkiego 12,000; według warunków przymierza, co najmniej je potroić było potrzeba. Zanim hetmani się z tém uwinęli, kawaler maltański, Lubomirski, marszałek koronny, zaciągnął osobno na żołąd cesarski oddział sześciotysięczny i pośpieszył z nim nad Dunaj, do obozu księcia Lotaryńskiego.

Wojsko cesarskie stanęło najpierw w Kitse, naprzeciw Presburga, o ośm mil od Wiednia. Gdy nadeszły wieści, że Kara Mustafa wyruszył z Belgradu, książę Lotaryński postanowił pomknąć naprzód na jego spotkanie, aby go w głąb kraju nie wpuścić. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Turcy powinni byli po drodze oblegać i zdobywać twierdze austriackie, co zabrałoby im trochę czasu. Liczył na to książę Lotaryński, nikomu też nawet wtedy i nie przyszło na myśl zabezpieczać Wiedeń od napadu.

Ale Kara Mustafa, przyjmowany przez Węgrów otwartemi ramionami, powziął myśl zuchwałą pozostawienia za sobą wszystkich miejsc obronnych i uderzenia od razu na stolicę. Udał więc tylko oblężenie Jawarynu nad Raabą, ażeby w błąd wprowadzić austriackiego dowódcę, bo miał nadzieję, że potrafi go zająć od tyłu i całą armią jego otoczyć. Możeby mu się ten śmiały manewr był udał, gdyby miał do czynienia z mniej doświadczonym i roztroptym wodzem. Książę Lotaryński złapać się nie dał i zrozumiawszy zamysły nieprzyjaciela, zaczął się natychmiast cofać bez pośpiechu, w największym porządku, nie spuszczać z oczu ruchów wojska tureckiego. Ten

odwrot, świetnie wykonany, równie zaszczytnym był dla sławy wojennej księcia, jak zwycięstwo.

Wezyr wysłał przodem silny oddział Tatarów, aby zniemacka zaskoczył drogę wojskom austriackim; zasadzka ta zaczęła się na nie o pięć mil od Wiednia, pod Petronel, w gęstwinie leśnej, i z niesłychaną gwałtownością, napadła przednie strażę, budząc w nich popłoch i przerażenie. Przymotność umysłu księcia Lotaryńskiego przywróciła porządek. Tatarzy musieli umknąć, udało się im jednak pochwyć wozy z kosztownym ładunkiem; dotkliwszą jeszcze dla wojska austriackiego była strata kilku znakomitych ludzi; zginął między innymi dzielny książę Sabaudzki, brat starszy Eugeniusza, który w czasach późniejszych pozyskał wielką sławę wojenną.

Wieść o tej potyczce okropnie przeraziła mieszkańców Wiednia, wszyscy byli przekonani, że armia turecka rozgromiła już do szczętu wojsko cesarskie, co żyło zaczęło uciekać z miasta w najwyższym popłochu, Dunaj pokryty był łodziami, które unosiły lud i dobytek. Przestrach ten był jeszcze przedwczesny, a jednak uległ mu nawet i sam cesarz; tegoż samego wieczora z całą rodziną opuścił stolicę przy świetle pochodni i oddalonych blaskach łuny, towarzyszącej zawsze pochodowi Tatarów, którzy już pod samem Wiedniem ogniem i mieczem pustoszyli wszystko. Zamożniejsi mieszkańcy poszli za przykładem dworu. Rodzina cesarska odpoczęła aż w Lincu, a Wiedeń na gwałt poczęto fortyfikować, gotując się do przyjęcia strasznych gości.

Cesarz Leopold tyle tylko miał czasu przed wyjazdem, że mianował komendantem miasta hrabiego Ernesta Rüdigera Starhemberga, a rządu w zastępstwie swoim powierzył sześciu dostojnikom, pomiędzy którymi był także ten sam Starhemberg. Ci zastępcy daleko więcej odwagi i mocy ducha okazali od swego monarchy, który umknął, jak tchórz, na pierwszą wieść o niebezpieczeństwie. W przeciągu dni kilku zdołano doskonale ufortyfikować miasto, uzbroić ludność, urządzić ambulansę, należy oddać sprawiedliwość Wiedeńczykom, tak dostojnicy, stojący na czele rządu, jak i lud, dali dowody bohaterskiej odwagi i dzielnie się trzymali, nigdy jednak nie zdołaliby byli o własnych siłach odeprzeć nawały tureckiej.

Książę Lotaryński, posuwając się ciągle lewym brzegiem Dunaju, wyprzedzał Kara Mustafę, który zbliżał się prawym brzegiem. Wprowadził on oddział wojska do Wiednia, sam zaś stanął obozem na zewnątrz miasta; miał nadzieję, że potrafi utrzymać komunikacyą z oblężonymi. Ukazała się niezadługo olbrzymia armia muzułmańska pod murami austriackiej stolicy, jak powódź roz-

łały się szeroko tłumy przeróżnych azyatyckich plemion, otaczając Wiedeń ogromnym półkolem. Patrzącym z murów wydawać się mogło, że drugie miasto, rozleglejsze, bogatsze, niezmiernie ludne, rozłożyło się tuż obok. Wspaniałe namioty, lśniąca od złota i kosztownych tkanin, ogromne trzody wielbłądów, nawet karawany kupców, wlokące się taborem za wojskiem, tłumy ludzi w strojach jaskrawych, wszystko to wyglądało tak okazale, że i podziw i przestrach budzić musiało. Wieczorem ognie niezliczone oblewały ten obóz blaskiem, od którego czerwieniło się całe sklepienie niebieskie. W powietrzu brzmiały dziwaczne dźwięki muzyki wschodniej, a niekiedy podnosił się ponury głos muezyna, wzywającego do modlitwy wyznawców Proroka.

Wojsko austriackie, uszczuplone teraz, gdyż część jego wzmocniła załogę Wiednia, nie mogło, pomimo niezaprzeczonego męstwa swego wodza, porywać się na tę olbrzymią, przeszło dwakroć stotysięczną armią. Książę Karol Lotaryński miał zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy żołnierza. Turcy tak ufali w liczebną swoją potęgę, że zaniebdywali wszelkich środków ostrożności i bardzo niedołążnie zabierali się do walki. Kara Mustafa był to człowiek gnuśny, lubiący przepych wschodni, stanawszy obozem pod Wiedniem, wylegiwał się wygodnie w złocistych swych namiotach, kiedy niekiedy tylko kazał się obnosić w bogatej lektyce, dla obejrzenia wojska. Wezwał on komendanta miasta do poddania się, lecz mężny Stahrenberg w odpowiedzi kazał popalić resztki przedmieści, których zniszczyć przedtém nie zdołano, chcąc tym sposobem odebrać Turkom możność ustawiania tam swoich bateryj. Załoga Wiednia liczyła kilkanaście tysięcy żołnierzy.

Dnia 15 Lipca rozpoczęli Turcy ogień działowy, a dzielny Stahrenberg raniony był odłamem kamienia w głowę. Przez dni kilka nie mógł wychodzić z domu, nie upadł jednak na duchu, wydawał rozporządzenia, o wszystkiém pamiętał. Tymczasem Turcy napadli na wojsko księcia Lotaryńskiego i odcięli je zupełnie od miasta. Książę zaledwie zdołał cofnąć się za drugie ramię Dunaju i most za sobą spalić, a tym sposobem uratować się od ostatecznej klęski. W tej potyczce udział już brali Polacy, przybyli pod wodzą kawalera maltańskiego Lubomirskiego i walczyli dzielnie. Teraz Wiedeń obleżony był dokoła i nieszczęśliwi mieszkańcy nie mogli dawać znać o sobie wojsku, chyba znakami, puszczaniem rac ognistych wśród nocy.

Obleżenie Wiednia było długie i ciężkie, ciągnęło się blisko dwa miesiące. Wytrwałość i męstwo Stahrenberga i jego towarzyszy, niepospolity ro-

zum strategiczny księcia Lotaryńskiego z jednej strony, a z drugiej niedołążstwo Kara Mustafy, ocaliły przez ten czas stolicę austriacką od zagłady i dozwoliły jej doczekać się skutecznej pomocy króla polskiego.

Rokoszanie węgierscy czynnie dopomagali Turkom, przywódzca ich, Tekeli, z pomocą oddziału tatarskiego, zdołał opanować miasto Presburg nad Dunajem, twierdza już tylko pozostała w ręku załogi austriackiej. Wówczas to książę Lotaryński sprawił się dzielnie, a oddział polski pod wodzą kawalera Lubomirskiego tak mu w tém wiele dopomógł, że sam książę pisał do króla Jana: „Polacy nic nie pozostawili do czynienia Niemcom”.

Wojsko austriackie zrazu następowało zwolna na nieprzyjaciela, który się cofał w porządku, lecz kawaler Lubomirski wyprosił sobie, aby mu pozwolono rzucić się nań żwawiej, a gdy otrzymał pozwolenie, natarł tak walecznie ze swemi polskimi chorągwiemi, że w jednej chwili rozgromił wrogów i cały tabor tatarski zdobył.

Rokoszanie i Tatarzy wyparci zostali z Presburga, pierzchli sromotnie za Dunaj, a mnóstwo ich w rzece śmierć znalazło.

Zwycięstwo to, acz niezbyt świetne na pozór, miało jednak ogromne znaczenie dla Austriaków. Gdyby Tatarom udało się było zająć twierdzę Presburga, byłiby ztamtąd rozleli się na Morawię i przecięli może drogę, którą miał przybyć król polski na obronę. Wtém więc jest ogromna zasługa księcia Lotaryńskiego, że nie dozwolił nieprzyjaciołom rozprzestrzenić się po drugiej stronie Dunaju i z małą swoją garstką trzymał ich przez czas tak długi w szachu. Węgrów zginęło w tej bitwie pod Presburgiem do tysiąca, Tatarów przeszło dwieście, a z Polaków i wojska cesarskiego nie zginął nikt i nawet nikt ciężkiej rany nie poniósł; działo się to dnia 29 Lipca.

Tymczasem Turcy coraz gwałtowniejsze szturm przypuszczali do obleżonego Wiednia, załoga broniła się mężnie, mieszczanie, w niedostatku broni, walczyli kosami, a nawet drągami, ciskali też kamienie i cegły na Turków, lecz siły obleżonych zaczynały się wyczerpywać. Europa cała z przerażeniem patrzyła na te zapasy chrześcijańskiej stolicy z nawałą pogańską, zaczęło się budzić współczucie powszechne dla Austrii, zewsząd ścigali rycerze do obozu księcia Lotaryńskiego, lecz wszystko to niczém było w obec tak przemagającej, strasznej potęgi.

W pierwszej połowie Sierpnia z obsaczonego dokoła miasta przemknął się przez zastępy tureckie goniec i zaniósł listy Stahrenberga do obozu księcia Lotaryńskiego. Gońcem tym był Polak Koleczycki, który umiał doskonale po turecku i był da-

wniej tłumaczem. Przebrany za Turka, umiał on podejść tak doskonale nieprzyjaciela, że go przepuszczono bezpiecznie i nie tylko dostał się do księcia Karola, ale i napowrót wcisnął się do oblężonego miasta, niosąc mu pomysły wieści, że Presburg odebrany, że posiłki z całych Niemiec gromadzą się na pomoc i na koniec, że spodziewane jest przybycie wojska polskiego. Odważny ten Koczycy, oddawna w Wiedniu zamieszkały, po odsieczce założył tam najpierwszą kawiarnię, zabrawszy z taboru tureckiego mnóstwo worków kawy, które mu za zasługi jego podarowano. Żył jeszcze długie lata, a Niemcy nazywali go *Bruder Hertz*.

Książę Lotaryński słał list za listem do króla Jana, błagając o śpieszny ratunek, a tymczasem ucierał się, jak mógł, z oddziałami tureckimi i tatarskimi, które usiłowały plondrować po drugiej stronie Dunaju. Cesarz Leopold siedział aż w Passau na ziemi bawarskiej, gdy stolica jego tak ciężkie przechodziła koleje, Sierpień się kończył, i już nie było nadziei, aby oblężeni mogli się dłużej utrzymać.

(D. c. n.).

Ubiory ludowe.

Ubiór ludowy nie zmienia się wraz z modą, jak suknie ludzi, należących do wyższej klasy. My naśladujemy zawsze cudzoziemców, a ponieważ Francja obecnie całym światu mody przepisuje, więc i my ubieramy się po francuzku.

Ale tak samo, jak zwyczaj ludowy, tak i ubiory wieśniaków są to zabytki niezmiernie dawnych czasów i często z kroju tych sukien, z kolorów, można dojść, z jakimi narodami lud miał kiedyś stostunki. Dla historyków nawet i te stroje mają niepospolite znaczenie. Rycina nasza przedstawia ubiory ludu na Pokuciu.

LISTY Z WARSZAWY.

Nowe wydawnictwa dla młodego wieku.

Najpierw składam serdeczne podziękowanie koleżdze Adasiowi Cz. pannie Janince S. oraz wszystkim przeznaczonym czytelnikom i czytelniczkom naszego Pisma, którzy na zapytanie moje, uczynione w ostatnim liście, czy mam dalej pisywać, pośpieszyli z uprzejmą odpowiedzią, że chociaż wieści z obcego świata są zajmujące, przenoszą jednak nad nie moje listy z Warszawy. Nie po-

winno to siostrzyczki Jadzi obrażać, gdyż zapewne nie talent mój pisarski to sprawił, lecz chwalebne zamiłowanie rzeczy swojskich, które ożywia czytelników.

Ale nie będę słów tracił na próżno, bo redakcja zapowiedziała mi z góry, że nie dużo ma miejsca w ostatnich Nrach Pisma, więc list mój musi być zwięzły, a ja tu mam zawiadomić cię, siostrzyczko, zarówno jak i wszystkich czytelników, o nowych wydawnictwach gwiazdkowych. Przystępuję więc do rzeczy, zacznę od książeczek przeznaczonych dla małych dzieci.

Z tych jedna szczególnie, pod tytułem „Rok dziecięcy“ jest prześliczna, w dużym formacie, pełna kolorowych obrazków, przedstawiających miesiące ze wszystkimi ich darami i zajęcia działwy w każdej porze roku. Ładniejsze jeszcze od obrazków są wierszyki, ładniejsze, bo swojskie; obrazki sprowadzono z Niemiec, a wierszyki napisał w Warszawie p. Maryan Gawalewicz. Pozwolę sobie wypisać tu jeden, na Grudzień, a sama zapewne przyznasz, siostrzyczko, że prześliczny.

Oj wróciła zima z śniegiem, wróciła,
W biały całun senną ziemię spowiła...
Wichry wyją w polach, lasach, żałośnie,
A pod śniegiem ziemia marzy o wiośnie.
Niech śnieżycą w szczerém polu dmie, hula,
Ciebie chroni w ciepłej chatce matula,
I na łonie własném ciepłem ogrzeje,
I do ciebie, niby słonko, się śmieje.
Czém to słonko ponad ziemią dla kwiatka,
Tém dla ciebie, drogie dziecię, jest matka.

Wyszło także dla młodziej działwy parę innych książeczek do czytania. Jedna z nich ma tytuł: *Powieści dla Helenki* przez Zofią z Rymanowa a druga *Gwiazdka dla grzecznej działwy* przez M. J. Zaleską. Dla dzieci od 9 do 12 lat stosowna jest książka téj samój autorki *Snopek*, powiastki, opowiadania i komedyjki. Wszystkie te książeczki mają ładne, chociaż nie kolorowe obrazki.

Dla dorastającój młodzieży wyszło także kilka dobrych i pięknych książek, jako to: *Na tle swojskiém*, powiastki z dawnych czasów z ładnymi rysunkami. Autorką tych powiastek jest p. Michalina Zielińska, dobrze znana czytelnikom naszego Pisma, dla tego też nie potrzebuję téj książki zalecać i wychwalać, co możeby nawet i nie wypadło, ponieważ autorka jest stałą współpracowniczką naszego Pisma. Powiem więc tylko, że opowiadania *Na tle swojskiém*, a właściwie historycznym, niemniej są zajmujące, jak „Tajemnica rodu, Spełnione śluby, Gwiazdka węgierska“, i inne powieści, które się tak podobały czytelnikom „Wieczorów“.

Z utworów tłómaczonych wymienię najpierw drugie wydanie znanéj geografii malowniczej w rozmowach ojca z dziećmi, pod tyt. *Jak wygląda świat i co się na nim znajduje*, Gerstaeckera, w wybornym przekładzie polskim p. Z. Zajączkowskiej. Nauka geografii, której dzieci tak nie lubią, gdy potrzeba uczyć się jéj w lekcjach na pamięć, w téj książeczce wyłożona jest sposobem niezmiernie łatwym i zajmującym. W podobny sposób ułatwiona i uprzyjemniona jest nauka historii w książce pod tyt. *Wiekii średnie w obrazach* z Grubego spolszczone przez Z. Zajączkowską z dodaniem historii Słowiańszczyzny podług

Maryana Gawalewicza. O Pompei, mieście rzymskiem, zasypaném w czasie wybuchu Wezuwiusza, na początku ery naszéj, każdy przecież słyszał. W powieści téj są bardzo zajmujące opisy życia dawnych Rzymian, uroczystości, igrzysk, biesiad. Wydanie jest bardzo piękne, rycinami ozdobione.

Dla ułatwienia kupującym wybór książek, pp. Gebethner i Wolff wydrukowali katalog ilustrowany wszystkich swoich wydawnictw dla młodego wieku. Są tam nietylko tytuły, ale i niektóre rysunki, w książkach tych zamieszczone, można więc powziąć o nich dokładniejsze wyobrażenie. Wyborny to pomysł, bo nie należy przecież uganiać



Wieśniacy z Pokucia (str. 776).

Szajnochy. Piękna ta książka, która stanowi drugi tom wydanéj dawniej Historii starożytnej, ozdobiona jest licznymi drzeworytami.

Ukazały się nadzwyczaj zajmujące podróże Meyne-Reida: *Polów potworów morskich* i *Przygody młodych myśliwców w Afryce południowej* w przekładzie M. J. Zaleskiej, a pierwsza z tych książek wydana jest także pod odmiennym tytułem: *Polowanie na wieloryby*, w tłómaczeniu Anczyca.

Mogę także polecić dobre bardzo dzieło: *Ostatnie dni Pompei* z angielskiego, przerobione dla młodzieży i na polski język tłómaczone przez

się za samymi nowościami, mnóstwo jest książek dawniejszych, bardzo dobrych, o których ludzie zapominają, gdy ich nie widzą przed sobą. Taki katalog je przypomni.

Wspominałem już nieraz o zabawkach pedagogicznych, tak pożytecznych, nietylko dla dzieci, ale i dla doroślejszej młodzieży. Wyborna to rzecz na długie zimowe wieczory. Wyszło w tym roku kilka nowych, rozpisywać się o nich nie będę, bo wydawcy rozesłali swój katalog wszystkim naszym prenumeratom.

A teraz muszę też powiedzieć choć parę słów o tém, co nasza redakcja przygotowuje na rok

przyszły dla swoich czytelników. Tytuły powieści i innych utworów są wymienione na ostatniej stronie; mógłbym opowiedzieć wszystko, co będzie ciekawego w tych powieściach, bo znam tajemnice redakcyjne, ale umiem trzymać język za zębami. Wspomnę więc tylko, że w powieści *Duch zamczyńska* będą Tatarzy, a w powieści *Tajemnica rodzinna* rozbójnicy... więcej jednak nic się odemnie nie dowiesz, siostruniu, choć mię trochę język świerzbi.

Za to pozwolono mi donieść wszystkim, że w roku przyszłym będzie co miesiąc podawana zagadka z nagrodą, a więc *dwanaście pięknych książek* redakcja rozda swoim prenumeratorom, którzy nadesłali dobre rozwiązania. Oprócz tego księgarze warszawscy odstępują dla naszych czytelników niektóre swoje książki po cenie niższej; spis jest na ostatniej stronie zamieszczony. Możesz więc pisać do mnie, ile razy będziesz której z tych książek potrzebowała, a otrzymasz ją znacznie taniej.

Podróż nadzwyczaj zajmująca z przygodami, podobno po Ameryce, (ale i to jest tajemnica redakcyjna) rozpocznie się w pierwszym N-rze roku przyszłego, a dla tych, którzy zawsze wolą rzeczy swojskie, autorka „Gawęd podsłuchanych u wiślanej fali“, przygotowała także same Gawędy u niemnowej fali podsłuchane.

Zresztą nasza redakcja nie ma zwyczaju dużo obiecywać, ale czyni co może, aby swoich miłych czytelników zadowolnić, a sądząc z liścików, które odbiera często, nieźle ję się to dotąd udawało, więc ma nadzieję i nadal na tę życzliwość zasłużył.

A teraz muszę kończyć, bo dla braku miejsca gotowi mój list obciąć w redakcyi, co wcale nie byłoby przyjemne. Bywajcie mi zdrowe, siostrzyczki.

Wasz przywiązany brat

Kazio.

PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYNY,

z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Otworzyłam nakoniec drzwi jadalnego pokoju; braciszek mój siedział jeszcze przed fortepianem z Janią, która paluszki jego wodziła po klawiszach. Na pulpicie przed nim był papier poliniowany. Jania wypisała na nim gamę. Obrzydłe gamy! wdrygnęłam się na samo ich wspomnienie. Jania wskazywała chłopczynie nuty, objaśniała łagodnie i cierpliwie, i rzecz dziwna! on słuchał ję z największą uwagą i zajęciem prawdziwem. Miałem

więc w rzeczy samej zupełnie odmienne upodobania.

Patrząc na rozpromienione oczęta Janka, przypomniałam sobie dzieciństwo Mozarta. Czyżby braciszek mój miał także niepospolite zdolności do muzyki? Któż wie, czy z czasem nie zostanie genialnym artystą? Ta myśl napełniała mię dumą i radością, resztki gniewu i goryczy rozplynęły się w tych uczuciach i weszłam do pokoju w najśłodszym usposobieniu. Janek zerwał się i biegł na moje spotkanie.

— Chodźno posłuchaj, siostrzyczko, jak ja gram. Nauczyłem się już trzech nut, a Jania obiecała mię uczyć i będę kiedyś grał tak ślicznie, jak mama— a wtém łezka zabłysła w jego oczkach i dodał rzewnym głosem: — czy mama cieszyłaby się, gdyby posłyszała moje granie?

Uściskałam go w milczeniu i łza skruchy stoczyła się na główkę dziecięcia, ukochanego dziecięcia mojej matki.

XI.

Smutna przygoda.

Od tego pamiętnego dnia uszy moje nie miały chwili odpoczynku, ciągle mię ogłuszały dźwięki fortepianu. Janek od samego rana sadowił się przed nim i wygrywał jednym paluszkiem różne melodye. Nudziło mię to śmiertelnie, a chociaż nie mam ucha muzycznego, czasem mię nawet drażniły fałszywe tony, bo fortepian był zniszczony i rozstrojony. Chłopczyna tak w tém zasmakował, że niepodobna go było odciągnąć od tęg dzikięj muzyki. Książeczki, tabliczki, poszły w ką, nawet do przechadzek stracił ochotę, nie mogłam mu dać rady przez kilka tygodni.

O bajki Grimma nie zapytał się nawet, a ja zawięłam książkę w żółty papier i schowałam ją na sam spód szuflady, gdzie przeleżała nietknięta przez czas bardzo długi. Serce moje boleśnie tęg było zranione, ale nie warto już dziś o tęg wspominać, bo rana oddawna się zablizniła.

I tak od rana do wieczora musiałam słuchać tego nieznośnego bębnienia, przerywając je tylko kiedyniekiedy nawoływaniem: — Janku, chodź na śniadanie; Janku, chodź na obiad; Janku, trzeba się przejść troszkę, taka dziś śliczna pogoda.

Chłopczyk zazwyczaj biegł natychmiast, bo odkiedy miał ten fortepian, przestał zupełnie grymasić i zawsze był grzeczny i posłuszny. Ale jak tylko mógł mi się wyrwać, powracał do swego nieśczęsnego grania. Nakoniec dnia pewnego wprowadziło mię to już z cierpliwością; zagroziłam ymu, że zamknę fortepian i klucz schowam. Zaczął

się śmiać, widocznie bawił go mój gniew, nie mógł uwierzyć, że to nie były żarty.

— Zrobię to dla własnego twego dobra, Janku — rzekłam, a w duszy usiłowałam wmówić w siebie, że tak było rzeczywiście — jeżeli tak dalej potrwa, nigdy się niczego nie nauczysz, będziesz nieukiem. Jestem starszą twoją siostrą, mam prawo wymagać od ciebie posłuszeństwa.

— Co? co?

Spojrzałam na niego; zdziwił mię wyraz twarzyczki malca. Nieraz widziałam go rozgrymaszonego, nieraz sprzeczał się ze mną i upiefał, ale nigdy jeszcze nie przemawiał w tak wyzywający sposób, nie zbuntował się tak zuchwale. Dotknęłam więc jakiejś nowój struny w sercu dziecka, zraniłam uczucie bardzo silne, gdyż nie rozplakał się, jak to zwykle czynił, lecz pobladł i zaciskając usteczka wycedził:

— Powtórz to jeszcze raz, coś powiedziała, siostrzyczko.

— Powiedziałam — recytowałam głosem poważnym i uroczystym, że jak nie będziesz grzeczny, posłuszny, nie zechcesz uczyć się lekcyj, zamknę fortepian na klucz i nie pozwolę ci grać. Czy słyszysz, Janku?

On milczał przez chwilę, jakby pokonany tą stałością moją; zrozumiał widocznie, że z nas dwojga, ja byłam silniejsza. Biedny mój Janeczek! oczki jego z taką miłością zwróciły się na fortepian, tak głęboko westchnął, szepcząc cichutko, z żalnością niewymowną:

— Ja go tak lubię! ja lubię ten fortepian Jani nad wszystko w świecie!

— I Janię także, nieprawdaż? — ozwał się w tej chwili głos słodki i dźwięczny. Jania stała na progu, wesoła, serdeczna i nie domyślała się niczego. Malec poskoczył do niej ożywiony nagle i zawołał ze skargą i nadzieją zarazem:

— Janiu, Janiu! ratuj mnie, ona mówi...

To już przechodziło granice mojej cierpliwości. Gniew szalony mnie ogarnął, pobiegłam do fortepianu i chciałam natychmiast groźbę swoją wykonać; ale Janek mnie wyprzedził. Z gwałtownością, której nigdy w nim jeszcze nie widziałam, pochwycił kluczyk i rzucił go z całej siły przez okno otwarte. Usłyszeliśmy, jak stuknął o brzeg studni i zapewne wpadł na dno. Malec wysiłony rozplakał się i ukrył twarzyczkę w objęciach Jani.

O Boże, przebacz mi! niegodziwa dziewczyna była ze mnie; a jeśli teraz ludzie mnie uważają za niezłą kobietę, dowód to najoczywistszy, że można pokonać w sobie złe skłonności, pracując nad tém szczerze z pomocą Bożą.

Patrząc na tych dwoje, jakby sprzymierzonych

przeciwko mnie, bo pocziwa Jania nie pojmowała wcale niedorzecznych moich uczuć i tuliła biednego mego braciszka z największą czułością, zbliżyłam się do nich, podniosłam rękę, drżącą z gniewu i — jak się to stało? Sama nie wiem, później mi się zdawało, że to nie ja, tylko jakaś inna istota zła lub nieprzytomna podniosła moją rękę i uderzyła, tak, uderzyła! Serce moje dziś jeszcze kraje się na wspomnienie tej chwili; uderzyłam braciszka, jedyne, ukochanego braciszka, za którego gotowa byłam oddać życie! a jednak uderzyłam go naprawdę!

Niezbyt silnie zapewne, bo nawet nie krzyknął. Ja zaś w tej samej chwili osunęłam się przy nim na kolana i całowałam na ukochaném ramieniu dziecka miejsce dotknięte moją ręką. Niezbyt silne to było uderzenie, a jednak straszną karę wyczytałam w oczach chłopczyny. Odwrócił się odemnie i czulój przytulił się do Jani. Złość moja przeminęła zupełnie, żalowałam szczerze chwili uniesienia i przepraszałam go po sto razy. Nakoniec uspokoił się zupełnie i uściskał mnie nawet, ale zaraz potem przysunął się znowu do Jani i oparł główkę na jej ramieniu.

Siły mię opuściły i wybiegłam z pokoju. Smutny to był dzień dla mnie i z wielkiem upokorzeniem i skruchą przypominałam sobie później, jaka Jania była dobra, cierpliwa, łagodna, jak serdecznie starała się pogodzić nas z braciszkiem, rozzerwać i zatrzeć wrażenie tej bolesnej sprzeczki. Przyszła ona była dnia tego, ażeby nas zabrać na przechadzkę, od kilku dni już ułożoną. Mieliliśmy zwiedzić miejsce, gdzie dawniej były kamieniołomy, Eliasz przyrzekł tam przyjść także i pokazać nam różne osobliwości. I ja, i braciszek mój, cieszyliśmy się tak na tę przechadzkę dnia poprzedniego jeszcze, ta nieszczęśliwa sprzeczka zatrula nam dziś całą przyjemność.

Wyszliśmy nakoniec; Janek rozpogodził się już zupełnie, ale trzymał się ciągle przy Jani i jęć rączkę podał, gdy się uczył trochę zmęczonym. Ja postępowałam za nimi w milczeniu, słyszałam szczebiotanie dziecka, nie rozumiejąc go wcale, straszny zamęt powstał w mojej głowie, a w duszy burzyły się myśli i uczucia tak niepocziwe, że z wielkim wstydem się do nich przyznaję; postanowiłam jednak całą prawdę napisać w tym pamiętniku.

Myślałam i przemyślałam nad tém, jakby tej Jani dokuczyć porządnie za to, że mi odbiera serce mego braciszka. Knułam na nią spiski najczarniejsze, i w końcu na złość, wyraźnie na złość biednej Jani, zaczęłam opowiadać różne okropne historie o rozbiciach okrętów, o nieszczęściach na morzu, przypominałam, jaka to burza musiała być

przed dwoma dniami aa oceanie, gdy u nas nawet drzewa wichur połamali. Rodzice jej byli teraz w drodze do Australii, wiedziałam dobrze, jak była niespokojna, z jaką trwogą i niecierpliwością czekała wieści od nich.

Bóg widzi, że dziś żałuję tego szczerze i trudno mi nawet pojąć, jak mogłam być tak okrutną. Szał mię jakiś ogarnął. Chciałam sprawić przykrość Jani, a dowodząc tego, ujrzałam lęzę zawieszoną na jej rękach, uczułam się daleko nieszczęśliwszą od niej, bo straszne brzemie zaciężyło na mojem sumieniu.

XII.

Zajmujące odkrycie.

Tymczasem spotkaliśmy Eliasza, który czekał na nas, siedząc na swoim wózku i, gwizdząc wesoło. Pocziwe człowieczysko! zawsze był w dobrym humorze, a każdemu starał się przyjemność sprawić. Zazdrościłam mu nieraz tego szczęśliwego usposobienia, gdy serce moje szarpały złe i zawiśte uczucia! Dziwna to rzecz, jak ludzie starsi za nic sobie wazą wszystkie cierpienia, jakich doznawali w dzieciństwie. Nieraz z uśmiechem wspominają o tém, co im gorzkie lzy wyciskało i patrząc na dzieci, nie dowierzają, aby one mogły mieć w życiu prawdziwe przykrości. Błąd to jest jednak, bo w młodym wieku dusza jest wrażliwsza jeszcze, niż w późniejszym, a drobne przyczyny sprawiają dzieciom taką samą boleść, jak starszym wielkie nieszczęścia. Tylko, że dzieci łatwo i prędko się pocieszają, cierpienia ich moralne są chwilowe.

Dnia tego, który był rzeczywiście ostatnim dniem mojego dzieciństwa, miały mną takie gwałtowne namiętności, że zdolniejszy autor mógłby z nich wysnuć cały dramat. Wsiadliśmy do wózka Eliasza, braciszek mój i tu przytulił się do Jani, a odemnie się odsunął, oboje szczebiotali wesoło, ja zaś w milczeniu spoglądałam na morze, to na krajobraz, oświecony blaskami słońca, bo pogoda była prześliczna, ale nic mnie nie mogło uspokoić, czułam się bardzo nieszczęśliwą. Sumienie mi wyrzucało, że nie umiem panować nad sobą, że sama sobie cierpień przyczyniam; ach! gdybym była mogła wynurzyć się przed kimś dobrym, kochającym, pobłażliwym, zasięgnąć rady życzliwej i serdecznej. Ale ja byłam samą jedną na świecie, nikt mi nie dopomógł w tej ciężkiej walce, którą prowadzić musiałam z sobą samą, a niestety! i z małym, biednym braciszkiem.

Kochałam Janka nad wszystko w życiu, a to serce moje szalone szeptało mi, że on przenosi nademnie Janię, a może i Eliasza, i innych. Były

to myśli niedorzeczne, lecz dręczyły mnie tak zupełnie, jak wielkie, prawdziwe nieszczęście. Niejeden może zadziwi się, że mnie tak głęboko dotknąć mogła obojętność takiego malca, jak Janek; ale ten malec był dla mnie całą rodziną, oprócz niego nie miałam nikogo na tym szerokim świecie. Na pensyi byłam pomiędzy obcymi, nikt mię tam nie kochał i ja do nikogo się nie przywiązałam; aż naraz przybył mi ten braciszek i wszystkie skarby uczucia, uszione w mojej duszy, spłynęły na niego. Serce moje było wprzód, jakby grunt jakiś jałowy, na którym żadne źdźbło trawki się nie zieleni, aż gdy go deszczyk wiosenny orzeźwi, naraz wydaje kwiaty i chwasty. Na nieszczęście więcej podobno chwastów wybujało w tém biedném sercu mojem, niżli pięknych kwiatów.

Wózek toczył się szybko po szosie, zwolna zniknęły nam z oczu drzewa i łąki zielone, tylko piaszczyste wybrzeże rozciągało się przed nami i niezmiernie morze, piętrzyły się skały urwiste. Wsiadliśmy, Eliasz wziął Janka na plecy, w jednej ręce niósł torbę, w którą zbierał zwykle różne ciekawe okazy geologiczne, a w drugiej młotek i duży drąg okuty. Szedł naprzód, wskazując drogę.

Zaczęliśmy się piąć pod górę, a szło nam coraz trudniej, stoki skał nadbrzeżnych były nadzwyczaj strome, pełno w nich było zagłębień, w niektórych miejscach porastał mech niezmiernie ślizki, szliśmy często nad samym brzegiem straszliwego urwiska, pod stopami naszymi widzieliśmy morze w takiej głębini, że kołyszące się na niem okręty wydawały się ztąd, jak ogromne ptaki wodne.

— Nieprawdaż, moje panienki, że to piękny widok?—rzekł Eliasz, zatrzymując się i spoglądając na morze. Janek uczeplił się mocniej jego kołnierza, wspaniały widok więcej go podobno przerażał niż zachwycał. Jania wpatrywała się w dal, a oczy jej zasły łzami. Zapomniała zapewne o moim braciszku, myślała o rodzicach, płynących gdzieś na dalekim oceanie, może o narzeczonym, który był także w podróży i nie prędko miał wrócić. Pocóż więc odbierała mi przywiązanie Janka, skoro miała kogo kochać? O, Janiu, dobra, pocziwa Janiu, przebac mi te niedorzeczne myśli!

Przebyliśmy nareszcie niewygodną drogę i stanęliśmy u celu naszej wycieczki. Było to rzeczywiście miejsce bardzo malownicze; dawne kamieniołomy utworzyły kilka obszernych podziemi, które wyglądały zupełnie, jak jaskinie naturalne. Eliasz pokazał nam skałę osobliwą. Nie mogłam pojąć zkad ten człowiek miał tyle wiadomości nauko-

wych, ale musiał się do tego przyczyniać zacy dziedzic. Skąła, o której wspominałam, złożona była prawie całkowicie ze szczątków różnych muszli, wyglądały tam zupełnie, jakgdyby je kto wapnem pozlepił. Cała ogromna góra nadbrzeżna z takiej wapiennej masy była złożona, fale morskie, uderzając o nią wściekle, powyżłabiały w niej mnóstwo zagłębień, poszarpały ją i popodmywały.

Eliasz nam powiedział, że wybrzeże to z tej przyczyny było bardzo niebezpieczne i dla tego to nawet zaniedbano te kamieniołomy, bo trudno było niezmiernie podpłynąć z tej strony i kamień zabrać. Parę statków zatęnęło w tym miejscu, zginęło też kilku robotników, więc zaniechano zupełnie dobywania kamienia z tej skały, chociaż był wyborny.

— Ostrożnie! ostrożnie, panno Emilio! — wołał na mnie co chwila nasz poczciwy przewodnik, gdy zaczęłam wędrować po wszystkich zakątkach, zapuszczając się w jaskinie, przeskakując z kamienia na kamień. Janek tymczasem zasiadł obok Jani i zjadał pierniki, które ona dla niego przyniosła w kieszeni. Przeciskałam się przez najwęższe szczeliny, spuszczałam się ponad urwiskami, nieraz fala, rozbijająca się o skałę, obryzgała mnie pianą.

Nakoniec usiadłam na głębokiej, płaskiej skale. Ponad nią piętrzyły się inne, tworząc coś podobnego do wschodów olbrzymich, a u samej góry kilka potężnych głazów, jakby ręką Tytanów nagromadzonych, wznosiło się nakształt sklepienia. Głazy te niezupełnie do siebie przystawały i fale morskie, uderzając o nie, przeciskały się kroplami przez szczeliny. Mnóstwo roślin zwieszało się z tych wilgotnych kamieni; jak dziś pamiętam, spostrzegłam na samym skraju urwiska prześliczny kwiateczek czerwony i przyszło mi na myśl, żeby go zerwać dla Janka: on tak lubił kwiatki. Rozmyślałam nad tym, czy nie możnaby go osiągnąć okutym drągiem Eliasza, albo moją parasolką, trzeba było tylko pochylić się trochę nad głębiną, narazić się na niebezpieczeństwo, ale mniejsza o to, malec byłby taki szczęśliwy!

Przysuwałam się coraz bliżej, gdy wtém usłyszałam w pobliżu głos Janeczka, odwróciłam się i ujrzałam chłopczykę, który sam jeden wędrował wśród głazów. Przeraziłam się okropnie, zaczęłam sobie wyrzucać, że go odstąpiła, podbiegłam naprzeciw niego, wołając:

— Janku, Janku, poczekaj, nie biegnij sam po tych urwiskach, bo jeszcze spadniesz, ja zaraz przyjdę po ciebie. Ale gdzie Jania?

— Jania tam siedzi, nie chciała iść ze mną.

— To dobrze, niech sobie siedzi — odrzekłam

złościwie — chodź do mnie, Janeczku, ja ci coś ślicznego pokażę.

— Ach, jak tu ładnie — mówił chłopczyzna, obejmując mię za szyję, gdy się pochyliła do niego. Tak zwykle czynił, jeśli chciał, żebym go wzięła na ręce. Ja byłam tak silna i zdrowa, że nosiłam go chętnie. Podeszłam z nim aż do stópowego tarasu, o który fale morskie z hukiem i szumem się rozbijały.

— Jak ta woda dziwnie szumi — mówił malec — zupełnie, jakgdyby śpiewała, albo grała. Muszę spróbować, czy nie potrafię tego wygrać na fortepianie.

— Ach! raz przecież daj mi już pokój z tym obrzydłym fortepianem! — zawołałam porywczo i zaraz pożałowałam tego, gdyż chłopczyzna spojrział na mnie namarszczony i osunął się z rąk moich.

— Dobrze, dobrze, idź sobie do Jani, nie myślę cię gwałtem zatrzymywać — rzekłam kwaśno. On już chciał odejść, gdy nagle nowy przedmiot wzrok jego uderzył.

— Emilciu, Emilciu, patrz, co to takiego? jakie to dziwne!

I mówiąc to, wskazywał paluszkami kamień spłaszczony, tkwiący daleko niżej, nad samem urwiskiem, obryzganym wodą, na tym kamieniu rzeczywiście widać było rzecz dziwną.

— To musi być muszla jakiegoś ogromnego ślimaka morskiego — rzekł Janek bardzo roztropnie.

— A mnie się zdaje, że to chyba wąż skamieniały, zwinięty w kółko — powiedziałam. — Nie pojmuję, jak on się tu mógł dostać? A może on tak leży od czasów Adama i Ewy?

— A może i od dawniejszych jeszcze — ozwał się za nami głos Eliasza; niespokojny był o nas i przyszedł obaczyć, co porabiamy — Boże kochany! tyle razy tu byłam, a nigdy nie spostrzegłem tego przepysznego amonitu.

— Czego, czego?

— Amonitu, panienko; to jest muszla ogromnego mięczaka przedpotopowego. Przepyszny okaz, nigdy jeszcze podobnego nie widziałem.

Mówiąc to, przyglądał się uważnie tej osobliwej muszli skamieniałej, a Janek także z zachwyceniem roztwierał oczęta i z rąk mi się wyrwał, a nakoniec rzekł w zamyśleniu:

— Amonit, co to znaczy? może się tém bawiły dzieci Amona, tego, co jest w Piśmie Śtém?

Eliasz rozśmiał się serdecznie.

— Dobra myśl, wyborna myśl. Dzieci tych olbrzymów, co to kiedyś podobno żyli na ziemi przed potopem, mogłyby być bawić się takim cackiem.

— O! jakbym ja to chciał mieć! — mówił Janek, składając rączki — toby się toczyło tak ślicznie po ziemi. Panie Eliaszu, proszę mi odłupać ten amonit!

Eliasz rozśmiał się jeszcze głośniej tym razem.

— To dopiero koncept! mój paniczku, nie jeden uczony chciałby posiadać taką rzecz osobliwą w swoim gabinecie. Czy słyszał kto co podobnego? taki wspaniały okaz miałby przejść na dziecinną zabawkę! — i zanosił się od śmiechu, a Jankowi tymczasem buzia się przeciągnęła i lzy zabłysły mu w oczkach. Chłopczyzna był urażony widocznie, że się z niego wysmiewano, zamiast dogodzić jego zachciance. I mnie to zaczynało niecierpliwic.

— Panie Eliaszu — rzekłam — proszę nie dokuczać memu braciszкови — i proszę mu to dać, jeżeli można.

— Jeżeli można? a toż byłaby robota nielada. Niechno panienska patrzy, co to za twarda skała — i uderzył młotkiem o kamień — chodźmy już, chodźmy, Janeczku. Odłupiemy go może inną razą. Boże kochany! — i rozśmiał się znowu — amonitu mu się zachciało do zabawy!

Eliasz wziął chłopczyka na ręce i usiłował go zabawić czém inném, ale nie łatwa to była sprawa, amonit tak zajechał w głowę Jankowi, że nie mógł się pocieszyć. Był to rzeczywiście okaz wspaniały, i dziś ten amonit stoi mi przed oczyma, jak gdybym go wczoraj widziała. Chciałabym się dowiedzieć, co się z nim dzieje? czy i teraz tak samo, jak owego pamiętnego dnia, te szczątki przedpotopowej istoty spoczywają na samotném wybrzeżu, gdzie wodne fale je płuczą i dwa razy dziennie w czasie przypływu zatapiają w swych nurtach spienionych? Zdaje mi się, że jakaś nić serdeczna łączy mnie z tym amonitem i dużo dałabym za to, żebym go mogła posiadać.

Janek powiedział przyjaciółce o strapieniu swoim, a ona zaczęła go pocieszać, tłómacząc łagodnie, że dzieci nie powinny zachciewać takich rzeczy, których niepodobna dostać. Jak gdyby to i ludzie dorośli nigdy nie zachiewali nic podobnego! Dobrze to tobie, moja Janiu, dawać takie nauki, pomyślałam sobie, ty taka jesteś na wszystko obojętna. Niby to kochasz mego braciszka, a nie chciałaś z nim nawet pójść obejrzeć tego amonitu, chociaż cię o to prosił. Ja niepodobna jestem do ciebie!

Nie wątpię, że braciszek mój pokładał wielkie nadzieje w Jani, może liczył na jęj pośrednictwo dla przełamania uporu Eliasza, który składał już narzędzia swoje i zabierał się do powrotu. Nakoniec malec, nie chcąc dać za wygraną, pochylił się do ucha Jani i szepnął:

— Kiedy Eliasz taki niedobry, nie chce odłupać dla mnie tego amonitu, to poprobuuj ty, Janiu, weź jego drag; dobrze, Janiu?

Ona uśmiechnęła się łagodnie i znów wmawiała w niego, że to jest niepodobieństwo, że onaby tego nigdy zrobić nie potrafiła. Ja się rozśmiałam i zaczęłam potakiwać; czyż ona była w stanie podnieść ten ciężki drag, żelazem okuty, małemi swemi rączkami? czy zechciałaby się potrudzić, nawet dla sprawienia przyjemności Jankowi? Co innego ja... I spojrzawszy na swoje silne ręce, przypomniałam sobie energią, której naprawdę nieraz dawałam dowody, a wtém nagle świetna myśl zaświtała w mojej głowie. Ukryłam twarz w dłoniach, zastanawiałam się głęboko, w końcu powzięłam śmiałe postanowienie.

Wyruszyliśmy z powrotem do domu, przebyliśmy już pieszo niewygodną drogę, ja przez cały czas niosłam braciszka na rękę, wózek był niedaleko, gdy Eliasz rzekł raptem:

— Gdzie się mógł podzieć mój drag?

Potém kazał nam iść naprzód i czekać przy wózku, sam zaś powrócił szukać draga. Nie znalazł go jednak; ja jedna wiedziałam, dla czego.

(d. c. n.).

Łamigłówka geograficzna.

Dodając samogłoski do trzech spółgłosek: d, n, r, utwórzyc nazwy sześciu rzek europejskich.

gami radzi

Łamigłówka liczbowa (Kazio W.).

Z 11 liter nazwisko sławnego malarza; przedstawiając litery, otrzymamy:

- 3, 6, 7, oznaczenie czasu. *era*
- 2, 9, 7, imię żeńskie. *Ira*
- 9, 7, 4, 3, 10, miejsce obronne. *zamek*
- 2, 1, 10, 6, 7, zjawisko świetlne. *iskra*
- 6, 9, 3, 10, 2, zawsze płyną. *rzeki*
- 8, 9, 5, 10, 11, człowiek w stanie natury. *dziki*
- 8, 7, 6, rzecz przyjemna. *dar*
- 6, 7, 10, zwierzątko wodne. *rak*
- 1, 3, 4, syn Noego. *sem*
- 10, 6, 7, lód. *loda*

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Szarady:

War — sza — wian — ka.

Homonimów:

Zamek obronny i zamek u drzwi.
Lak do pieczętowania i lak kwiat.
Lama zwierzę i lama złota.
Kara za przewinienie i kara do wożenia piasku.
Rak skorupiak i rak choroba.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Zosi R. w Stepku. Obie łamigłówki są bardzo dobre i serdecznie za nie dziękujemy, będą wydrukowane niezadługo. Na liściki wszystkich naszych kochanych czytelników i czytelniczek odpowiadamy zawsze z przyjemnością, ale odpowiedź musi się troszkę opóźnić, dla tego, ażeby się nie opóźniło Pisemko. Wiemy dobrze, jak to niemiło otrzymać same dokończenia powiastek i podróży, dla tego też do Nowego roku wszystkie rozpoczęte ukończymy, a nowi prenumeratorzy otrzymają wszystko od początku. Prosimy bardzo, aby ten pierwszy liścik nie był ostatnim. Najbardziej pożądane dla nas są wiadomości, co mianowicie w Pisemku naszym podoba się czytelnikom i prosimy przedewszystkiem o zupełną otwartość.

P. Dorze. Próbkę rysunków przejrzelśmy z przyjemnością, znać w nich talent i pracę. Nie możemy ich jednak spożytkować do naszego Pisemka, a to z powodów technicznych, których niepodobna wyjaśnić w kilku słowach.

Marylce S. Czarodziejska sztuczka jest rzeczywiście niezbyt łatwa do odgadnięcia, a jednak otrzymaliśmy trafne jej rozwiązanie od jednego z czytelników. Widać, że odgadnąć ją można. Dajemy tak dużo łatwiejszych łamigłówek, że dla odmiany trzeba czasem i trudniejszą zamieścić, a niektórzy czytelnicy o takie właśnie się upominają. Co do układania nowych łamigłówek, najlepiej brać wzór z naszych. W zadaniach konikowych zgłoski nie mogą być rozsypane na chybił trafił, ale powinny następować po sobie w takich skokach, jakie robi pionek na szachownicy.

Adasiowi R. w Żytomierzu. Jeszcze nie tracimy nadziei, że komedyjka się da pomieścić przed Nowym Rokiem; ale przedewszystkiem musimy kończyć rozpoczęte powieści i opowiadania. Zagadka z nagrodą jeszcze jedna w roku bieżącym będzie zamieszczona, a w roku następnym będą takie zagadki z nagrodami, historyczne i geograficzne, podawane co miesiąc. Mamy już dwanaście pięknych książek w pogotowiu.

Pani Kłopotowskiej w Krakowie. Nra. 30 i 51 z r. 1880 przygotowaliśmy dla Pani, ale nikt się o nie nie upomniał, adresu zaś dokładnego nie mamy. Zapewne przez jakieś pośrednictwo odbiera Pani nasze Pismo. Co mamy zrobić z temi Numerami?

Następujące osoby mają w naszej redakcyi do rozporządzenia pozostałe z prenumeraty kwoty pieniężne.

P. Marya Rolle w Kamieńcu Podolskim kop. 90.
p. Jadwiga Rzążewska w Hołowianesku kop. 17,
p. Edward Grochowski w Łosicach rs. 1, 25. Dr. Kochanowski w Brześciu Litewskim rs. 1, 25, p. Jadwiga

Juchnowicz w Nieskucznie rs. 5, p. Tomaszowicz w Krzemieńcu rs. 1, p. Anna Zaleska w Jazłowcu rs. 1, — Po 45 kop. p. Marya Krasowska w Odesie — p. Witalis Żebrowski w Kossowie — p. Helena Zwolińska w Białej Cerkwi — p. Sabina Wasilkowska w Złotym Brodzie — p. Jerzy Szafnagl w Kuźmińczyku — p. Aleksander Gruszecki w Otrokowie.

Następujące osoby mają dopłacić redakcyi za rok 1883 pokop. 50. P. Aniela Grudzińska w Zapadyńcach — Maryniai Lusja Fedkowiczówny w Dubnie — p. Zofia Jaworska w Charkowie — kop. 18 p. Marczevska w Łukowie.

Notatki bibliograficzne.

Ukazwały się w handlu księgarskim pożyteczne książeczki dla ludu, wydane przez Konrada Prószyńskiego (Promyka).

Jak przysporzyć ziemi i chleba, dla użytku sąsiadów napisał Marcin Mizera. Cena kop. 6.

Pielgrzym nauczycielem, napisał ks. R. Filochowski, cena kop. 6.

Prawdziwa historia o pijaku Urbanie przez Janka z Bielca (Gregorowicza) cena kop. 6.

SPIS KSIĄŻEK,

które prenumeratorzy **Wieczorów Rodziny** nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi po cenie zniżonej.

Wydawnictwa p. Maurycego Orgelbranda.

Dzieduszycka Anastazy. Jak sobie dziatwa radzila. Opowiadanie dla młodzieży od lat 9 do 12 w oprawie kartonowanej. Cena katalogowa rs. 1 zniżona 75 kop.

„ Z dziedziny przyrody, przekład z Carey'a z dwiema rycinami, w opr. kart. cena kat. 70 kop. zniż. na 50 kop.

„ Szary dom, powieść dla młodzieży, przekład z ang. Greene'a cena kat. kop. 50 zniż. na 35.

Czepliński Fl. Sława, opowiadania z historyi starożytniej dla młodego wieku, ozdobione licznymi wizerunkami, w opr. kart. cena kat. rs. 1 20 zniż. na 90 kop.

Hoffmanowa Kl. Powieści z Pisma Świętego cena kat. 1, 50 zniż. 1 rs.

Izdebska Wł. Praca bogactwem, powieść dla dorastającej młodzieży, w opr. kart. rs. 1 zniż. 75 kop.

Teresa Jadwiga. Ze świata rzeczywistości i ze świata marzeń, 5 powieści dla dzieci z 5 rycinami w opr. kart. cena kat 1, 20 zniż. 90 kop.

Zajczkowska Z. Trzy powieści dla dzieci z 6 rycinami w opr. kart. cena kat. 1, 20 zniż 90 k.

A. S. Powieści dla młodego wieku cena kat. 1 zniżona 75. toż samo z rycinami ceną kat. 1, 50 zniż. 1, 20.

Duch opiekuńczy, czyli dziennik dziecienny 2 tomy cena kat. 1 80 zniż. 75 kop.

Wydawnictwa pp. Gebethnera i Wolffa.

- Izdebska.** Pamiętnik Babuni z ryciną, cena kat. rs. 1 kop. 20, niż. 80 kop.
- E. Lejowa.** Fantazja i prawda, powieści z rycinami kolorowemi cena kat. rs. 1 niż. 65 kop.
- Chęciński.** Powiastki przełożone z francuzkiego z rycinami cen. kat. rs. 1 niż. 65.
- Przyborowski.** Baśni ludowe z rycinami kolorowemi cena kat. 1, 50 niż. 1.
- Grzeczne dziewczynki** przekład z francuzkiego z licznymi rycinami cen. kat. 1, 20, niż. 80 kop.
- Sekrecik białego dworku** przekład z angielskiego z ryciną cen. kat. 1, 20 niż. 80 kop.
- Zaleska.** Obraz świata roślinnego z licznymi rycinami cen. kat. 2, 25 niż. 1, 50.

Wydawnictwa p. Hösick'a.

- CUDA NAD CUDAMI 5** komedji czarodziejskich dla małych dzieci z kolorowanemi rycinami wydanie 2-ie tańsze cena kart. rs. 3, niż. rs. 2, 25.
- Cuda nad cudami.** Czarodziejsko-pantomiczny teatrzyk w ruchomych przemianach i przesłicznych kolorowych obrazkach dla grzecznych dzieci. Ozdobnie kartonowane, cen. kart. Sinobrody rs. 1. Kot w butach rs. 1. Piękna księżniczka w uspionym lesie rs. 1. Aladyn czyli Cudowna Lampa rs. 1. Kopcuszek rs. 1 niż. każda po kop. 75.
- Ziarnka mądrości** Ezopa, w bajeczkach i wierszykach, oraz przesłicznych obrazkach kolorowych na tle złotem. Dla małych dzieci. Z kolorową okładką, cena kart. rs. 1 niż. 75 kop.
- Don-Kiszot'a** z Manszy przygody, podróże i wielkie czyny. Ku ucieście i zabawie małych dzieci, z wielkimi kolorowanemi rycinami i kolorową okładką, cena kop. 50 niż. 37 1/2.
- Bieda z nędzą.** Baśń ludowa, opracowana dla młodzieży przez K. Wł. Wojcickiego, z przesłicznymi rycinami kolorowemi (chromolitografiami) Wł. Szymanowskiego z ozdobną okładką kartonowaną, cena rs. 1, 20, niż. kop. 90.
- Pan Twardowski.** Podanie ludowe według klehdy K. Wł. Wojcickiego dla małych dzieci opracowane, z pysznymi kolorowanemi ilustracyami (oleodrukami) Wład. Szymanowskiego. Ozdobnie kartonowane, z kolorową ryciną na tytule. Cena rs. 1 kop. 20 kop. 90.
- Rozrywki na dni świąteczne.** Powiastki, komedjka i przypowieści moralne dla młodzieży, przez Z. Kaplińską. Cena w ozdobnej oprawie rs. 1, 20 bez oprawy kop. 75, kartonowane rs. 1 niż. w oprawie kop. 90, kartonowane kop. 75 bez oprawy kop. 57.
- Powieści z Pisma Świętego.** Wierszem dla dzieci opowiedziane przez Jana z Rzeszowa z wieloma ryc. dużym wyraźnym drukiem. W ozdobnej opr. kop. 75 niż. kop. 57.

Przechadzki ojca z dziećmi, po polu, łąkach, lesie i ogrodzie, czyli świat roślinny w powieściach, rozmowach i opowiadaniach, przez Emilją Lejową. Cena w ozdobnej opr. rs. 2. w opr. zwyczaj. rs. 1, 50, bez opr. rs. 1, 35 niż. w ozd. oprawie rs. 1, 50 w zwyczaj. rs. 1, 12 bez oprawy rs. 1.

Pamiętnik Laury. Upominek babuni dla swęj dorastającej wnuczki, przez Felicyą Szymanowską. Z rycinami. Cena w ozdobnej oprawie, z bogatymi wyciskami i złoceniami rs. 2, w opr. zwyczaj. rs. 1, 50, bez opr. rs. 1, 35 niż. w ozd. opr. rs. 1, 50 w zwyczaj. opr. rs. 1, 12 bez opr. rs. 1.

Mali Mężczyźni. Powieść pani Alcott, z angielskiego. Cena w oprawie rs. 1 bez opr. 75 niż. w opr. 75 bez oprawy 57.

Za przesyłkę pocztą doliczã się po kop. 10 do każdego rubla wartości książek.

OD REDAKCYI.

Wieczory Rodzinne w roku następnym wychodzić będą pod tym samym kierunkiem i na dotychczasowych warunkach. Przygotowaliśmy dla czytelników naszych między innymi następujące utwory: Michaliny Zielińskiej (M—a) **Duch Zamczyska**, powieść z czasów dawniejszych — **Gawędy podsłuchane u niemnowej fali.** — **Skarbiec pamiątek ojczystych**, zbiór podań i legend dawnych. Teresy Jadwigi Papi: **Pamiętne Chwile.** — M. J. Zaleskiej: **Tajemnica Rodzinna**, powieść z gór karpacczych — **Dwie siostry**, opowiadanie z dziejów wynalazków — Różnych autorów: **Obrazki z dziejów starożytnych** — **Księga pamiętnych czynów**, przykłady z życia ludzi zasłużonych, z dawniejszych i nowszych czasów czerpane. — **Wędrowki młodego chłopca po kraju rodzinnym.** — Nowy szereg pogadanek o literaturze i znakomitych pisarzach polskich. — **Dwanaście zagadek historycznych i geograficznych z nagrodami**, co miesiąc będzie zamieszczana taka zagadka, nagrodę stanowi książka w ozdobnej oprawie.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty wprost pod adresem redakcyi:

Mazowiecka Nr. 8.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



PRZECHWAŁKI.

Raz spotkały się trzy krowy
I poczęły wieść rozmowy
O tém: która więcej warta?
A że każda jest uparta,
Więc ryczały tak bez miary,
Aż powiedział Kruczek stary:

— Nie wiem, kto tam wart najwięcej
Jest w rodzinie téj bydłecój,
Lecz raz w sprawie téj rolniczej
Coś słyszałem na doświtku *),
Że im głośniej tak kto ryczy,
Tém zeń mniej pożytku...

Odważna Mania.

Mania i Haneczka bardzo się kochały, a że ich rodzice w jednym mieszkali domu, więc też razem czytać się uczyły, robić podwiązkę, obrębiać, rachować, a całe poobiedzie w ogródku bawiły się z lalką i pocziwym Hektorem. Tak nazywał się ogromny pies podwórzowy. Gdy kto obcy wszedł do domu, Hektor szczekał i wył, ale dla dziewczynek był niesłychanie łagodny i cierpliwy. Pewnego razu Haneczka uplotła z liści i kwiatów duży wianek i obie dziewczynki chciały nim ustroić głowę Hektora. Widocznie jednak pies nie lubił kwiatów, bo zaledwie dziewczyn-

ki mu włożyły wianek, on potrząsnął głową i kwiatki spadły.

— Brzydki Hektor!— wołały rozgniewane dziewczynki— uparciuch szkaradny— i na nowo zabawę rozpoczynały. A wtém ktoś przez nieuwagę otworzył bramę od ogrodu i ogromne żółte psisko weszło ze schylnym łbem, wywieszonym językiem i opuszczonym ogonem.

Nie szczeknąwszy nawet, poszedł ten pies do Hektora, ukąsił go w łapę, a gdy Mania brzydkiego psa rączką odegnać chciała i ją też zębami schwycił za paluszek.

Dziewczynka krzyknęła, bardziej ze strachu niż z bólu, po chwili jednak, przypomniawszy sobie, że chora Mama jej krzyk usłyszeć może i przerazić się, umilkła. Biedny Hektor skomląc poszedł do swój budy, a dziewczynki smutne i drżące pobiegły do mamy Hani, i opowiedziały jej całe zdarzenie.

Z opowiadania dziewczynek poznała Mama Hani, że to musiał być pies wściekły, obejrzawszy zadrasniętą rączkę Mani, najprzód obmyła zimną wodą starannie, potem w wodzie osolonéj umoczyła zraniony paluszek.

Przywołany doktor wypiekl ranę żelazem i bardzo bolące przykładał lekarstwa, ale Mania, choć ledwie sześć lat miała, nie płakała, nie wrywała paluszka i cichutko się zachowywała. Mama jej już od kilku miesięcy chora leżała i każde zmartwienie lub przestрах bardzo jej zaszkodzić mogło, to też kochana Manusia dla tego tak cierpliwą była. Pocziwego Hektora wkrótce z domu wyprowadzono i dziewczynki nie widziały go już więcej. A Mania po dwóch tygodniach, siedząc z robótką przy łóżku zdrowszej Mammy, i pokuszając mały znaczek na paluszku, rzekła:

— Czy Mamusia wie, co to za znak?

— Pewnie ukłółaś się szpilką, moje dziecko — rzekła Mama.

— O nie — odpowiedziała Mania — to pies wściekły mnie ukąsił, — a widząc, że Mama pobladła, dziewczynka zaczęła jej ręce całować

*) Doświtki, zgromadzenia zimowe poranne wiejskie.

i mówić: — Mamuniu, nie martw się, to już dawno było, teraz jestem zupełnie zdrowa. Mama Hani i pan doktor mnie wyleczyli.

— Dla czegoż nic mi o tém nie mówiłaś? musiała cię bardzo rączka boleć.

— O bardzo, Mateczko, ale tyś była chora, a ja bałam się ciebie zasmucać.

Mama serdecznie uściśkała dobrą, pocztwą córeczkę, a gdy wyzdrowiała zupełnie, długo bardzo modliły się obie w kościele. Mama dziękowała Bogu za dobrą córeczkę i zdrowie powrócone, za to, że mogła się długo nią jeszcze cieszyć, a Mania nie umiałaby powiedzieć, co jęj maluchne czuło serduszko. Dobrze jęj było, patrząc na Bożą dziecinę uśmiechniętą w ołtarzu, i trzymając rączkę Mamy kochanej.

Marya Ciświcka.

DZIEŃ DOBRY!

Dzieńdobry o dziecię!
Już wszystko na świecie
Ze snu się nocnego zbudziło;
Już słońce przygrzewa,
I ptaszek już śpiewa,
A wszędzie ruch, życie, aż miło!
Dzieńdobry, dziecino!
Niech chwile ci miną
Szczęśliwie, przyjemnie, wesoło;
Niech słonko na niebie
Wciąż świeci dla ciebie,
Niech szczęście otacza cię w koło!
Dzieńdobry! aniele!
Niech dobrych dni wiele
To życie ci zawsze przynosi;
Nie doznaj przykrości,
Ni smutku w przyszłości,
Niech łezka twych oczu nie zrosi,
Dzieńdobry! niech woła
Przyroda dokoła,
Życzeniem niech wita cię wszędzie.
Dla ciebie, o dziecię,
Zaczyna się życie,
Dniem dobrym niech zawsze ci będzie

Helena Bojarska.

SUKIENKA ROZDARTA.

(naśladowanie).

Mała Lucia wraca ze szkoły, idzie powoli i główkę ma spuszczoną; biedaczka wygląda bardzo smutna. Czy może nie umiała lekcyi?

Nie, przeciwnie, nauczyciel ją pochwalił. Ale przytrafił się Luci pardzo niemiły przypadek: wstając z ławki, zaczepiła i rozdarła sukienkę, okropną dziurę w niej wyrwała. To trudno będzie bardzo naprawić.

Musi jednak sama to zrobić, bo matka jęj jest ubogą praczką, chodzi zwykle na robotę na cały dzień i wieczorem zmęczona powraca do domu. Lucia składa najpierw porządknie książeczki i kajety, potem zapala lampę, bo już jest zupełnie ciemno i otwiera szufladę, gdzie matka jęj trzyma różne gałganki.

— Ten błękitny zupełnie taki, jak moja sukienka—mówi dziewczynka, rozkładając duży gałganek—musi być z tęg samęj sztuki, co moja sukienka, wyborna będzie łatka.

I mówiąc to, zdejmuje sukienkę, wkłada kaftanik, zasiada natychmiast do roboty, a tak gorliwie szyje, że nie słyszy wejścia matki.

— Co się stało? — mówi matka — naprawiasz sukienkę, rozdarłaś ją pewnie? Toż dopiero kłopot! ani kawałeczka takięj błękitnęj wełny nie mam w domu.

— Jest, mateczko, już znalazłam i naprawiłam sukienkę, prawie znaku niema — mówi dziewczynka, pokazując swoję robotę.

— A no, to dobrze—odrzeczce matka, spiesząc ogień rozpalić do wieczery—umiesz już przecież sama sobie poradzić.

Lucia poszła spać, a nazajutrz rano, gdy wkładała sukienkę, aż wykrzyknęła ze zmartwienia:

— O, mateczko! patrz, co ja zrobiłam! wstawiłam łatkę zieloną na błękitnęj sukience. Co ja teraz pocznę! nie mogę pójść do szkoły w tęg sukience.

— Ach, mój Boże! — rzekła matka, niemniej strapiona od córeczki—nie dopatrzyłaś tęg wieczorem, bo zielony kolor często się przy świecy wydaje błękitny. Ale musisz przecież pójść jakoś do szkoły, nauki opuszczać nie trzeba. Włóż fartuszek, to się ta nie-szczęсна łatka zakryje.

Lucia włożyła fartuszek, ale łatka była z boku i została na wierzchu.

— Wiem, co zrobię — pomyślała Lucia — będę teczkę tak trzymała, żeby tęg brzydką łatkę zakryła, a w ławkach nikt nie zobaczy.

Ale wychodząc ze szkoły zapomniała o tęg zupełnie, dziewczynki, idące za nią, zaczęły się śmiać na głos, wołając: łata! łata! a biednęj Luci łyzy zakręciły się w oczach i pobie-gła prędiutko do domu.

Jedna z dwóch dziewczynek, które się śmiały z Luci, nazywała się Cesia. Powróci-

wszy dnia tego ze szkoły, Cesia zaczęła myśleć o tém, co zrobiła i żal jój bardzo było. Widziała łyzy biednej Luci i mówiła sobie, że ona z jój przyczyny płakała.

— Ale pocóż znów taką dziwną, zieloną łątkę wstawiła sobie do błękitnej sukienki? trudnoż było się z tego nie rozśmiać.

Cesia zaczęła się bawić lalką i spostrzegła, że sukienka laleczki zrobiona była z takiej samej błękitnej wełny, jak podarta sukienka Luci. I znowu sobie przypomniała zmartwienie biednej dziewczynki.

— Już wiem—pomyślała—ona pewnie nie miała takiego błękitnego gałganka i dla tego wstawiła łątkę zieloną. Jój mama jest bardzo ubogą. Ach, żebym ja miała taki gałganek, zarazbym jój dała.

Lucia poszła do swojej mamy i zapytała, czy nie ma gdzie kawałeczka takiej błękitnej wełny? Ale na nieszczęście nigdzie nie można było znaleźć najmniejszego skrawka.

— Moja Irmo—rzekła nakoniec do lalki—ja wiem, że ty masz dobre serduszko i zgodzisz się na to, co ci powiem. Pamiętasz tę grzeczną Lucię, co tu parę dni temu do mnie przychodziła? Otóż zdarzył się jój przypadek, rozdarła sukienkę i nie miała jój czém naprawić, wstawiła łątkę zieloną, a to bardzo brzydko i śmiesznie wygląda. Tybyś z pewnością nie chciała nosić takiej sukienki, ani ja także. Biedna Lucia pewnie nie może znaleźć błękitnego gałganka w domu. A tu właśnie twoja sukienka jest zupełnie z takiej samej wełny. Jak myślisz, możebyś ty jój dała tę sukienkę. Ja wiem, że jedną masz tylko na zmianę oprócz tej; ale poco masz zmieniać sukienki? Lucia przecież nie ma drugiej, to i ty się jakoś obejdziesz.

Irma nic nie odpowiedziała, ale patrzyła na swoją małą mateczkę, uśmiechając się do niej, jak zawsze. Więc Cesia była pewna, że się zgadza. Zdjęła z niej sukienkę, odpruła staniczek, a spodniczkę zawinęła w papier i pobiegła do Luci, która mieszkała w domu naprzeciwko. Gdy weszła do sieni, obaczyła, że drzwi były na wpół odemknięte.

— O, mateczko!—mówiła Lucia przez płacz—ja już po obiedzie nie pójde do szkoły, za nic nie pójde, wszyscy się wysmiewają ze mnie...

— Pójdiesz, pójdiesz razem ze mną—wołała Cesia, i wbiegła, trzymając w ręku gałganek—naprawimy zaraz twoją sukienkę i zobaczysz, że teraz ani znaku już nie będzie. Daruj mi, Luciu, żem się z ciebie śmiała.

A Lucia była uszczęśliwiona, obie dziewczynkiabrały się do naprawiania sukienki i poszły wesoło do szkoły, a odtąd były z sobą w wielkiej przyjaźni.

LISZKA I CHRABĄSZCZ.

(Dokończenie).

Ale liszka nie słyszała i ciągle we śnie była pogrążona. Chrabąszcz odleciał zasmucony, niespokojny był bardzo o swoją przyjaciółkę. Przez kilka dni jeszcze powracał do niej rano i wieczor, próbował ją rozbudzić, ale widząc, że leży ciągle martwa i bez ruchu, sądził, że już nie żyje. Tak mu to było przykro, iż opuścił dąb, na którym oddawna mieszkał i przeniósł się na inne drzewo; przyłączył się do licznej gromadki chrabąszczów, a towarzysze starali się go rozerwać w strapieniu. Nie mógł jednak zapomnieć o liszce i we trzy tygodnie po owym dniu pamiętnym, gdy w obecności jego urządziła sobie kolebeczkę, znowu przyleciał obaczyć, co się z nią stało.

Już jest na gałęzi, gdzie po raz pierwszy spotkał się z tą miłą liszką, oto wiszą jeszcze resztki listeczka, który jedli razem. Chrabąszcz zbliża się do kolebeczki, wzruszony jest niezmiernie, zagłada... i widzi kolebeczkę próżną! W tejże samej chwili słyszy nad głową lekki szelest, jakby poruszenie skrzydełek.

— A czego to pan tu szuka?—odzywa się ładny motylek, siedzący na gałęzi; i zatrzepotał skrzydełkami złotymi w czarne centki.

— Szukam mojej przyjaciółki—odręcze chrabąszcz—była to młoda liszka bardzo przyjemna, rozmawialiśmy często z sobą, aż raz usnęła w kolebeczce, którą sobie z liścia uwiła, nie mogłem jój się dobudzić, a teraz znów znikła. Ach! cóżbym dał za to, żeby się dowiedzieć, co się z nią stało!

— Proszę bliżej—rzekł motylek z figlarną minka—mogę panu dać wiadomość o losie tej liszki, wiem napewno, że wczoraj wyszła ze swojej kolebeczki.

— Doprawdy!—zawołał chrabąszcz—ale gdzież ona jest? jabym tak chciał się z nią zobaczyć.

— Ależ widzisz ją pan przed sobą.

— Nie widzę nigdzie—mówił chrabąszcz, oglądając się na wszystkie strony.

— Cha, cha, cha! toż to ja jestem, czy nie poznajesz pan mojego głosu?

— Co, tybyś miał być liszką, piękny motylku? — zawołał chrabąszcz zdumiony — ależ te ładne, kolorowe skrzydełka?..

— Wyrósł mi podczas snu—rzekł motylek.

— Pyszny jesteś naprawdę, przyjacielu motylku — powiedział chrabąszcz — nigdybym w tobie nie poznał kochanej mojej liszki. Spójrz na mnie, o! co za oczy! musisz niemi doskonale widzieć.

I mówiąc to, dotknął łapką delikatnych skrzydełek przyjaciela.

— Oho! tylko ostrożnie, bardzo proszę! — zawołał motylek przestraszony — patrz pan, co się stało, moja barwa, moja piękna barwa!

W rzeczy samej odrobina delikatnego pyłku ze skrzydełek motylka przylgnęła do łapek chrabąszcza.

— Co znowu! — zawołał chrabąszcz — ależ to strasznie nietrwałe są te twoje wdzięki, mój przyjacielu. Musisz się ciągle mieć na ostrożności, o! patrz, o mało nie zaczepiłeś się o tę zeschniętą gałązkę, a jakże ty będziesz się przeciskał pomiędzy liśćmi? Prawda, że ładne bardzo masz skrzydełka, ale ja wolę swoje, bo trwalsze i bezpieczniejsze. Czy już jesteś po śniadaniu? możebyśmy razem podjedli tych listeczków. Tu na tej gałązce są wyborne. Czemuż nie jesz? Ale co ja widzę? toż ty nie masz pyszczka!... a to co za wąsik zakręcony siedzi ci pod oczkami?

— Ba! ja sam się temu wydziwić nie mogę — rzekł motylek — nie jadam teraz wcale liści, a jednak głód mi nie dokucza. Pofruniemy na łąkę, czy zgoda? tam dopiero pokazę ci, co umiem.

I pofrunęli obaj.

— Jak leciutko lata mój przyjaciel! — mówił chrabąszcz sam do siebie, zdążając za motylkiem. — Ale gdzież on się podział? nie mogę go dojrzeć, aha! usiadł na kwiateczku.

— Przypatrzże się teraz, do czego służy ten wąsik mój zakręcony — rzekł motylek — to jest taka trąbka; jak mi się jeść chce, rozwijam ją, zapuszczam głęboko w głąb kwiatu i wysysam sok słodziutki. Jakie to smaczne, ten miodek kwiatowy!

— Patrzcie go! — zawołał motylek — a to dopiero łakomec, miodu mu się zachciewa tak, jak pszczołkom! A nie jadłbyś to poczciwie listeczków zielonych? poco to być takim wybrednym.

— Ba! ty nie masz wyobrażenia, przyjacielu, jakie to wyborne, co za słodycz, co za

aromat! poczekaj, jeszcze muszę tego kwiateczka różowego pokosztować; delicye, powiadam ci, delicye! Niema to, jak być motylkiem! co to za szczęśliwe życie, wuu! po do nocy przelatywać z kwiatka na kwiatek karmić się samą słodyczą i gwarzyć wesoło z różnemi miłemi owadami. Ale czegoż się tak ociągasz? lećże prędkiej.

— Nie mogę zdążyć za tobą, przyjacielu, rzekł chrabąszcz — tchu mi już zabrakło. Lataj ty już sobie sam, a ja powracam do domu, bo i sen mnie zmorzył.

— Do widzenia! — wołał motylek, podlatując wyżej — muszę też oznajmić wszystkim liszkom, jakie napotkam po drodze, że z czasem niezawodnie przemienią się w motylki. Otoż się ucieszają! Do widzenia, przyjacielu, wieczorem zobaczymy się na naszym dębie, opowiem ci wszystko, co tu zobaczę ciekawego przez cały dzień.

Zagadka.

Są trzy siostry:

Jedna lubi deszcze,

Druga mróz ostry,

Trzecia młoda jeszcze,

Kwiatki sieje ochoczo, jak w raj;

Zaś nijakiego rodzaju

Jest z rodzeństwa istota czwarta,

Najwięcej ze czterech warta,

Bo trzy na nią,

Jak na panią,

Pracują przez koleżeństwo:

Cóż to za rodzeństwo?

Łamigłówna kryształowa.

1) Współgłoska

2) Rzeka w gubernii podolskiej

3)

4) Rzeka w Galicyi

5) Współgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery powinny utworzyć nazwę małego miasteczka, gdzie się urodził wielki król.

Rozwiązania do Nr. 47-go

Zagadki:

Bóbr.

Łamigłównki krzyżyk.

R

O

R E M U S

U

L

U

S